

PRZEWODNIK KATOLICKI



Redaktor:
X. Stanisław Ciążyński
w Poznaniu.
Telefon Redakcji: 2678.

Pismo dla Rodzin, Bractw i Stowarzyszeń katolickich.

Bezpłatne dodatki:
„SŁOWO BOŻE” i „OPIEKUN DZIATEK”.

Adres dla wszelkich przesyłek:
„Przewodnik Katolicki”
Poznań, Aleje Marcinkowskiego 22.
Telefon Administracji: 3613.

Przedpłata kwartalna za „Przewodnik Kat.” w ekspedycji i w agencjach 100 m., na pocztę 139,20 m. Wysyłany z ekspedycji pod opaską 150,00 mk. „Przewodnik” zapisany jest na pocztę jako „Przewodnik Katol.” Poznań. — Cena ogłoszeń 60,00 mk. od wiersza drobnego.

Nr. 9.

Poznań, dnia 26 lutego 1922 roku.

Rok XXVIII.

CZAS POKUTY.

Nadszedł czas Wielkiego Postu. Dzwony pokutne rozkołysały się, a ich głos spiżowy dotrzeć pragnie nie tylko do uszu, ale i do serc naszych.

Wielki Post to czas pokuty. Grzech zapanował w świecie wszechwładnie w najrozmaitszej postaci. Od upadku Adama w raju jest on na ziemi zjawiskiem powszednim. Lecz dopiero wojna ostatnia wszechświatowa ujawniła w całej grozie grzeszną naturę ludzką i dokonała w duszach ludzkich przewrotu moralnego, jakiego pokolenia poprzednie nie znały.

A gdzie grzech wtargnął, tam musi pójść za nim pokuta. Kto zgrzeszył, zgubił siebie. Kto pokutę czyni, ten znów znalazł siebie. Kto zgrzeszył, ten zadał sobie rany i wniósł zamęt w życie swoje; kto pokutą z grzechów się oczyszcza, ten leczy te rany a rozprężenie usuwa. Świadomość grzechu ciężarem przyniata człowieka

i ubezwładnia go; pragnienie zadośćuczynienia za grzechy i uczynki pokutne podnoszą człowieka i wzmacniają, wlewają wielką moc i siłę do duszy jego.

Przeto Kościół przez długi szereg tygodni codziennie nawołuje do pokuty, wskazując na Ukrzyżowanego, który dobrowolną ofiarą życia chciał zdjąć z ludzkości twarde i nieznośne brzemie grzechów. A czyni to w tym celu, aby wewnętrzne i najsłabsze siły i uczucia ducha ludzkiego obudzić, rozwinąć, wydoskonalic a życie nasze opromienić bla-

skiem „wolności Synów Bożych”. Minęły już czasy, kiedy Kościół ciężką nakładał pokutę i w Wielkim Poście surowe wydawał przepisy. Dziś drobnych, minimalnych od nas żąda ofiar i umartwień. Ale i one mają swoje znaczenie. Bo chodzi przede wszystkim o usposobienie, w jakim owe uczynki pokutne spełniamy, chodzi o ducha pokuty, o panowanie nad sobą, o zaparcie się siebie.

Nie samo wstrzymywanie się od potraw mięsnych,

a raczej wola zdecydowana do opanowania siebie i owe wzmocnienie wewnętrznej siły, która stwarza w nas każde ujarzmienie grzesznej natury i każde zwycięstwo nad namiętnościami, posiada wartość wielką i trwałą. Jeżeli zdolni jesteśmy z wyższych pobudek w duchu świętej pokuty wyrzec się rzeczy dozwolonych, wtedy tem łatwiej nam będzie pokonać grzeszne pragnienie owoców zakazanych. Oto źródło, z którego płynie



Niedola uchodźców w Rosji.
Tymczasowy pobyt w namiotach i barakach.

Fot. Marjan Fuks.

moc charakteru i woli, oraz duch pokuty z wszelkiem swem błogosławieństwem.

Proste to rzeczy. Ale one mają głębokie znaczenie i nieprzemijającą wartość w królestwie Bożem. Powiedział bowiem Bóg przez usta apostoła narodów: „Jeśli podług ciała żyć będziecie, pomrzecie, jeśli zaś duchem sprawy ciała umartwiecie, żyć będziecie”; a przedtem z naciskiem powtarzał Pan Jezus: „Jeżeli pokutować nie będziecie, wszyscy spólem poginiecie.”

POŚREDNIO OD BOGA.

W roku 494 przed Chrystusem Panem zbuntował się w mieście Rzymie lud przeciwko „panom” czyli przeciwko bogatym i wykształconym patrycjuszom i rządzącym senatorom i urządził rewolucję. Ale nie w ten sposób to uczynił, że począł napadać na domy, rabować i mordować, lecz wraz z wojskiem opuścił miasto i przeniósł się na tak zwaną „góre świętą”, o 3 mile odległą od miasta. Powiedzieli sobie zbuntowani: „Niech sobie panowie patrycjusze sami w mieście radzą. Zobaczymy, kto się obędzie: czy my bez nich czy oni bez nas”. Niektórzy patrycjusze nie chcieli ustąpić. Ale przeważyli w senacie rozsądniejsi głosy i wysłano do ludu na ową górę jednego ze senatorów, Menenjusza Agryppę, żeby zawarł z ludem ugodę i skłonił go do powrotu. Menenjusz opowiedział wtenczas ludowi taką bajkę: „Pewnego razu zaczęły szemrać członki ciała na to, że żołądek nic nie robi a one na niego pracować muszą. Sprzysięgły się więc między sobą i wypowiedziały służbę żołądkowi. Ręce nie podawały do ust pokarmu, usta go nie przyjmowały, żeby nie żuły. Sądziły członki, że tym sposobem żołądek pokonają i bez niego się obędą. Tymczasem pokazało się, że wkrótce zaczęły ich siły upadać, że żołądek o tyle inne członki zasila, o ile sam przez nie jest żywionym, i że ani on bez nich istnieć nie może ani oni bez niego. Tak samo — mówił Menenjusz — jest między nami i wami. Ani sam prosty lud bez wykształconych nie może się obyć ani wykształceni bez ludu roboczego.” To porównanie tak trafiło do przekonania zbuntowanego ludu, że zgodzili się na rokowania z patrycjuszami i uzyskawszy dla siebie pewne ustępstwa, wrócili do miasta i poczęli na nowo pracować.

Wartoby tę bajkę przypomnieć i dzisiaj tym wszystkim zaślepionym i zaciętrzewionym krótkowidzom, którzy chcieliby państwo budować ze samych tylko robotników — i to nietylko polskich, ale gdyby tak być mogło, to i z rosyjskich i niemieckich i angielskich i wszelkich innych narodowości, — choćby i Polska przytem zginać miała. Kto prawdziwym jest przyjacielem robotników i bez obłudy dobrze im życzy, ten nigdy takich bredni nie będzie im gadał, bo wie, że to jest niemożliwe. A choćby nawet na parę miesięcy lub parę lat takie państwo dało się zaprowadzić, to biedny robotnik najgorzejby na tem wyszedł, bo nie do szczęścia i dobrobytu wszystkich taka droga by wiodła, ale do ogólnej ruiny i nędzy, do upadku wszelkiej kultury i oświaty i do dzikiego barbarzyństwa. W żadnym państwie nie może istnieć jeden tylko stan i jeden zawód. Takiego państwa nie było nigdy i nigdy nie będzie, bo być nie może. To prawda tak jasna, że żadnemu człowiekowi, który zdrowo myśleć umie, nie potrzeba jej wcale dowodzić. Jak w rodzinie żona spełnia swoją pracę domową, a mąż swoją w polu, przy warsztacie, w biurze, fabryce lub gdzieindziej, i każde dziecko też ma swoje zajęcie, i jak nigdy nie spełnia tam jeden pracy tej, która należy do drugiego — chyba wyjątkowo; albo jak w zarządzie jakiej spółki lub towarzystwa czy stronnictwa jeden jest prezesem, drugi skarbnikiem, trzeci sekretarzem itd., a nigdy nie jest każdy z nich wszystkim razem, boby pracy nie podolał, choćby się znał na niej, tak też i w państwie musi być koniecznie podział pracy. Bo tam jest nie tylko praca do wykonania, którą spełniają robotnicy, ale i ta, którą spełniają rzemieślnicy i kupcy i urzędnicy i nauczyciele i policjanci

i lekarze i sędziowie i wszystkie inne stany. Każde z tych kółek jest niezbędnie potrzebne w tej wielkiej machinie, jaką jest państwo. Nie może lekarza zastąpić robotnik, ani kupiec sędziego, ani profesor rzemieślnika. Każdy zna tylko swój zawód dokładnie, w nim tylko jest wydoskonalony i dlatego też w nim tylko może coś pożytecznego dla innych zdziałać i innym rzetelnie się przysłużyć. Gdy zabierze się do tego, na czym się nie zna i czego nie umie, szkodę tylko sobie i społeczeństwu będzie wyrządzał. Będzie tracił czas, niszczył materiał do pracy mu dany i brał pieniądze za darmo, a wszystko, co zrobi, będzie zepsute i spartaczone.

Więc prawdziwie, tak jak żołądek nie może się obyć bez innych członków ciała, ani one bez niego, tak i w społeczeństwie i państwie jeden stan nie może obyć się bez drugich, ale wszystkie są sobie nawzajem potrzebne. A przez to, że każdy stan spełnia pilnie i wiernie swe obowiązki, rośnie wytwórczość i rośnie ogólny dobrobyt; a więc nikt na tem nie cierpi, ale przeciwnie, wszyscy jak najwięcej zyskują i niezmiernie korzyści odnoszą. Przez taki jedynie podział pracy może każdy w swoim zawodzie się wydoskonalic, może innym swą wiedzą i swem doświadczeniem w potrzebie służyć i może wyrabiać pewne rzeczy, których inni zrobić nie umieją, i może wytwarzać ich więcej, niż sam potrzebuje, a przez to ze swej obfitości udzielać innym, a w zamian odbierać to, co sam potrzebuje a wytworzyć sobie nie umie.

Tak więc my wszyscy jeden drugiego potrzebujemy, jeden drugiego dopełniamy i w ten sposób stworzymy wszyscy z woli Bożej jedną wielką, nierozłączną całość, którą nazywamy społeczeństwem, a jeżeli to społeczeństwo ma swą najwyższą władzę polityczną czyli rząd, nazywamy je państwem. Z woli Bożej tworzymy tę całość społeczno-państwową, bo Bóg dał nam taką naturę, że ona jest nietylko skłonna i zdolna do wspólnego łączenia się z innymi ludźmi w wielkie społeczne zbiorowiska ludzkie, a w końcu w niezależne państwa, ale natura nasza jest taka, że wprost koniecznie domaga się i potrzebuje tego łączenia się z innymi, jeżeli nie ma pozostać — jak u dzikich w Afryce — na niskim stopniu barbarzyństwa i dzikości, ale ma się rozwijać i wciąż robić postępy pod względem oświaty i cnoty i dobrobytu i szczęścia ogólnego. Przez to zaś, że Bóg dał nam taką naturę, chce widocznie, żeby ludzie łączyli się ze sobą w państwa i dopomagali sobie w nich wzajemnie. I dlatego to wszędzie i zawsze, gdzie tylko ludzie żyli liczniej razem, znajdujemy u nich zorganizowane państwa z najwyższą władzą polityczną na czele. Do tworzenia tych państw parła ludzi ich natura społeczna, ich wrodzone skłonności i zdolności społeczne, ich potrzeby wzajemne i życiowe konieczności, ich rozsądek wreszcie i popęd samozachowawczy. Każdy bowiem widzi, że jeżeli chce praw dla siebie, to musi je też uznać i uszanować u bliźnich swoich; że gdzie ma panować ład i bezpieczeństwo publiczne, tam musi być i władza dla zmuszania i karania złych i opornych.

W ten to sposób tak dobre, jak i złe skłonności człowieka zmuszały ludzi do tworzenia sobie państw niezależnych. Państwo więc jako takie jest wielką naturalną organizacją czyli społecznością, i tak rzecz można, pośrednio od Boga pochodzi, bo z Boskiej istnieje woli. Powiedzieliśmy: „państwo

jako takie", bo nie każde państwo oparte jest na zasadach woli Bożej, mianowicie nie wtenczas, jeżeli w niem panuje prześladowanie religij, albo uciski narodów obcych, albo inne bezprawie.

Ale tam, gdzie jak Polska, państwo powstało cudem Opatrzności Boskiej i sprawiedliwości dziejowej, mając za sobą długą przeszłość prawidłowego i naturalnego rozwoju, tam, gdzie jak w Polsce, niema niewolników, a naród jest na swej własnej od wieków posiadanej ziemi, gdzie naród jest mniej lub więcej jednolity i swą Ojczyznę gorąco kochający i sam sobie swój rząd i swą władzę może obierać, gdzie prawodawstwo opiera się na prawach Boskich

i prawach natury — tam śmiało rzec można, że państwo takie z Boskiej tylko istnieje woli.

Takie państwo nie tylko dopomaga swym obywatelom do osiągnięcia celu doczesnego, to jest do szczęścia i dobrobytu ziemskiego, ale ułatwia zarazem osiągnięcie celu wiecznego. Bo tam, gdzie dobrobyt i zadowolenie, gdzie spokój i porządek, gdzie sprawiedliwość i cnota, tam i cel duszy łatwiej każdemu osiągnąć. Kto więc na takie państwo się targa i jego byt zdradziecko podkopuje i za łada mrzonki zaprzędać je gotów, ten winien jest zbrodni nie tylko przeciw Ojczyźnie, ale i przeciw Bogu. Co bowiem Bóg złączył, człowiekowi rozłączać nie wolno. J. K.

LEKARZ WBREW SWEJ WOLI

CZYLI

ZEMSTA ŻONY.

KOMEDJA MOLJERA.

(Dokończenie.)

Scena II. Moczygęba, Maciek i Piotruś (syn jego).

Maciek. Panie doktorze, przyszedliśmy tu z synem do pana po poradę.

Moczygęba. Czem wam mogę służyć moi zacni ludzie?

Maciek. Jego matka, to jest Piotrusia, a moja kobieta leży obłożnie chora już od pół roku.

Moczygęba (wyciąga rękę, jakby chciał pieniędzy). I czego żądacie ode mnie?

Maciek. Niechby się pan doktor ulitował nad nią i ozdrowił.

Moczygęba. Muszę naprzód wiedzieć, co jej dolega.

Maciek. Cierpi na hipokryzję. To znaczy, cała jest opuchnięta jak bania. Trzęsie ją od czasu do czasu febra i wtedy ma darcie w piętach. Flegma jej rzuca się do gardła i wtedy jakby ją chciało zadusić...

Moczygęba (wyciąga rękę jakby po pieniądze, przebiera palcami). Do rzeczy, przyjacielu, nie odbiegać od przedmiotu!

Maciek. Rzecz polega na tem, aby pan doktor na to wszystko coś poradził.

Moczygęba. Doprawdy, nie rozumiem o co wam chodzi.

Piotruś. Panie doktor, moja matka jest słabą, macie tu dwa srebrne pieniądze, a dajcie nam coś na jej uleczenie.

Moczygęba. Teraz mi się wyjaśniło. Ten chłopak jest nie w ciemie bity. Powiadasz (zwraca się do Piotrusia), że matka twoja jest opuchnięta, że ma gorączkę, że ją febra bierze, że ma kurcze i omdlenia i że ją dusi.

Piotruś. Tak panie doktorze, nicinaczej.

Moczygęba. Ciebie odrazu zrozumiałem, ale ojciec twój gada jak na mękach. A teraz chodzi wam o lekarstwo?

Piotruś. A jużci.

Moczygęba. Masz tu kawałek sera, dajcie go matce do spożycia.

Piotruś. Niby tego sera?

Moczygęba. To jest nadzwyczajny ser z przyprawami. Działa wprost zadziwiająco.

Piotruś. Dziękujemy, panie doktorze, zaraz go damy matce, żeby go zgryzła.

Moczygęba. O tak, tak. Gdyby przypadkiem umarła, sprawcie jej przyzwoity pochówek, (do siebie) ale mnie nie proście.

Scena III. Moczygęba, Geroncjusz, potem Leander i Lucyna.

Geroncjusz. Ach! panie doktorze, szukam cię od dawna.

Moczygęba. Przechadzałem się dla higieny w ogrodzie. Jak zdrowie córki pańskiej?

Geroncjusz. Niestety! pogorszyło się jej po lekarstwie z chleba i wina.

Moczygęba. Chwała Bogu! to znak że działa.

Geroncjusz. Ja inaczej sędzę i boję się, aby się nie zadusiła.

Moczygęba. Bądź pan spokojny. Mam lekarstwa, które wszystko skrócają, nawet agonję.

Geroncjusz. (wskazując na Leandra). Cóż to za jegomość z panem przyszedł.

Moczygęba (znakami objaśnia, że apłekarz): To jest...

Geroncjusz. Co?

Moczygęba. Który będzie potrzebny córce (do siebie) na męża.

(Wchodzi Lucyna).

Moczygęba (do Leandra). Idźno pan, panie aptekarzu pomacać jej puls przez chwilę, abym mógł z panem później porozumieć się co do leków. (odciąga Geroncjusza i obejmując go ręką przez ramiona, kładzie mu ją pod brodę, kręcąc głową jego tak, żeby Geroncjusz nie mógł widzieć, co porabia Lucyna i Leander i ciągle doń mówi). Tak panie! to jest niesłychanie ciekawa i nierozstrzygnięta kwestja, czy kobiety są łatwiejsze do uleczenia niż mężczyźni. Niech pan posłucha moich zapatrywań. Kiedy jedni twierdzą, że tak, a inni im przeczą, ja mówię: tak i nie, ponieważ humory w usposobieniach kobiecych są przyczyną, że strona zwierzęca nie jest stroną ludzką, z tego wynika, że nierówność ich temperamentów zależy od odmiany księżycy, że zaś słońce nie ma odmiany...

Lucyna (do Leandra): Nie, ja nie potrafię odmienić się w swych uczuciach.

Geroncjusz. Moja córka przemówiła! Co za lekarstwo cudowne dałeś jej, Moczygębo! Jakże ci się wywdzięczę?! Jak ci odplacę za to dobrodzieństwo dla nas obojga.

Moczygęba (chodzi i wachluje się kapeluszem). Oj o! ta choroba nie mało mnie wysiłku umysłu i trudów fizycznych kosztowała.

Lucyna. Tak, ojciec, odzyskałam mowę, ale po to by ci powiedzieć, że nie zaślubię innego młodzieńca, jeno Leandra, stanowczo zaś odrzucam Horacego.

Geroncjusz. Ależ dziecko.

Lucyna. Postanowienie moje jest niezłomne.

Geroncjusz. Jaki?

Lucyna. Żadna władza nie zmusi mnie do małżeństwa, którem się brzydę. Serce moje nie podda się przemocy.

Geroncjusz. Ta rzecz do mnie...

Lucyna. Do mnie należy. Naprawdę tracisz czas na sprzeciwy. Horacy wyłączony.

Z MOSKWY DO POLSKI.

Męczeńska droga uchodźców polskich.



Na stacji w Baranowiczach.



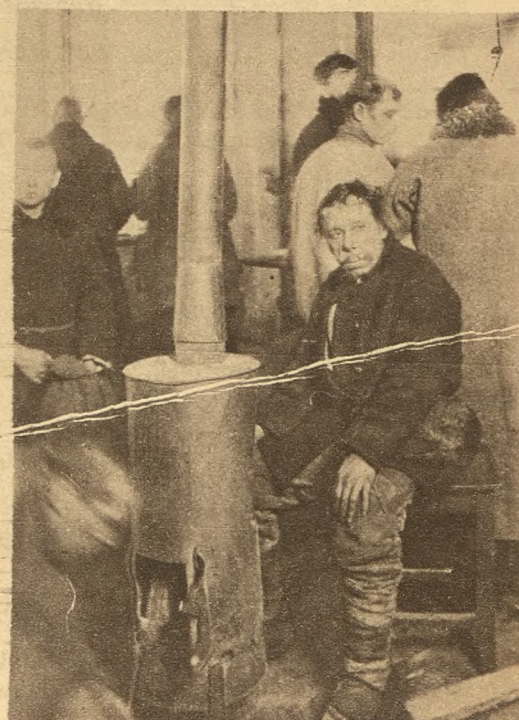
Przewożenie chorych do szpitala.



Przed barakami w Baranowiczach.



Tymczasowy pobyt w barakach.



Przy kominku. Typ chłopu białoruskiego.

Fot. Marjan Fuks.



Ochrona dla sierot, które straciły rodziców w Rosji.



Kuchnia ruchoma dla uchodźców.



Kolejka po chleb.



Uchodźca spragniony wody.



Kobiety grzeją się w barakach.



W szpitalu dla chorych na tyfus. Matka z dziećmi.

Geroncjusz. Ach! cóż za niepoliamowany wylew wymowy. Nie mam sposobu zatrzymania go (*do Moczygęby*). Panie racz ją napowrót zrobić niema.

Moczygęba. To rzecz niemożliwa. Natomiast panu wyświadczyć mogę usługę, czyniąc go głuchym, o ile pan sobie tego życzy.

Geroncjusz. Serdeczne dzięki, pan jesteś zbyt do- wciplny (*do Lucyny*). I ty myślisz...

Lucyna. Com pomyślała tom wypowiedziała.

Geroncjusz. Jeszcze dziś przed wieczorem zaślubisz Horacego.

Lucyna. Raczej stanę u ołtarza śmierci.

Moczygęba (*do Geroncjusza*). Przestań pan ją drażnić; pozwól, abym ją wziął Lucynkę na kurację. Nie rozumiesz pan, że przez nią przemawia choroba, a ja wiem, jak ją uleczyć.

Geroncjusz. Doprawdy? Potrafiłbyś pan i tę widocznie umysłową chorobę usunąć?

Moczygęba. Nie wątpij pan. A teraz pozwól mi działać. Aptekarz będzie mi w tem nader pomocny. (*do Leandra*). Widzisz, że miłość Lucyny do tego Leandra natrafia na opór woli ojcowskiej. Niema czasu do stracenia, humory są tak wzburzone, że szybko trzeba użyć lekarstwa, inaczej choroba skończy się katastrofą. Otóż polecam ci, mości pigularzu, przyrządzić dawkę przeczyszczającej ucieczki, do czego dorzucisz parę uncji matrymonium¹⁾ w pigułce. Ale naprzód idź z nią na przechadzkę, aby powolniejsza była do przyjęcia lekarstwa. Idź i przynieś leków!

Scena IV. Geroncjusz i Moczygęba.

Geroncjusz. Nie rozumiem, panie konsyljarzu, cożes to za środki wymienił. Pierwszy raz jakoby o tem słyszę.

Moczygęba. One są stosowane w takich wypadkach jak teraz.

Geroncjusz. Pan nie masz pojęcia, jak ona durzy się w tym... oleandrze.

Moczygęba. Upalny temperament.

Geroncjusz. Skoro tylko spostrzegłem ten „upał“ w jej usposobieniu, zamknąłem ją i odosobniłem od mężczyzn.

Moczygęba. Po ojcowsku.

Geroncjusz. Nie ścierpiałbym, żeby się kiedykolwiek zobaczyli.

Moczygęba. Wierzę, wierzę.

Geroncjusz. Mam lęk, że ona dałaby się wykraść.

Moczygęba. Słusznie, słusznie.

Geroncjusz. Już mnie przed tym zamiarem Leandra ostrzeżono, ale to mu się nie uda.

Moczygęba. Z pewnością nie.

Geroncjusz. Już ja w tem, że oni się nigdy nie zobaczą.

Moczygęba. Musieliby oboje bardzo rychło wstać.

¹⁾ Małżeństwo — jest to znak dla Leandra, żeby z ukochaną uciekał.

Scena V. Ciż i Łukasz polem Marcyna.

Łukasz. Oj! bigos się zrobił nielada: córka pańska dała drapakę z tym Oleandrem, niby aptekarzem. A to wszystko zawdzięczasz pan kuracji doktora Moczygęby.

Geroncjusz. Przebóg! Tego jeszcze brakowało. Leć po straż i pilnuj mi tego oszusta (*wychodzi*). (*Wpada Marcyna do Łukasza nie widzi Moczygęby*). A tom się zmachała, ledwom żywa. Powiedz mi, dobry czlecze, co się stało z tym lekarzem, którego wam poleciłam.

Łukasz. Właśnie go mają powiesić.

Marcyna. Co? powiesić mego męża? za co? co on wam zawinił?

Łukasz. Pomógł wykraść córkę naszego pana.

Marcyna (*zwraca się do Moczygęby*). Tyś tu? Zaprzecz temu, niegodziwy.

Moczygęba. Mogę tylko poświadczyć, że to prawda.

Marcyna. I ty nie miałbyś wstydu dyndać przy tylu świadkach?

Moczygęba. Daj jaką dobrą radę?

Marcyna. Ach! gdybyś był choć skończył to zbieranie chrustu, coś obiecał, byłabym pocieszona.

Moczygęba. Ruszaj stąd i tak mam serce rozdarte.

Marcyna. Otóż właśnie, że zostanę. Nie odejdę, dopóki nie ujrę, jak zawisniesz.

Scena VI. Ciż i Geroncjusz.

Geroncjusz. Za chwilę przybędzie tu straż z naczelnikiem i umieścimy cię, gdzie należy.

Moczygęba (*pada na kolana*). O, ja nieborak! Czy nie możnaby tej strasznej kary zamienić na kije?

Geroncjusz. Nie! nigdy.

Scena VII. Ciż, Walery, Leander i Lucyna.

Leander (*do Geroncjusza*). Panie, otom Leander, przyprowadzam ci córkę z powrotem. Zamierzaliśmy uciec i poślubić się w ukryciu przed tobą, ale w drodze zmieniliśmy projekt: właśnie dostałem wiadomość, że wuj umarł i cały miljonowy spadek mi przekazał. Co pan na to?

Geroncjusz. Panie! cenię pana jak najwyżej i oddaje ci córkę moją bez zastrzeżeń.

Moczygęba (*do siebie*). Wiwat moja medycyna!

Marcyna. Skoro nie będziesz wisiał, podziękuj mi za to, że cię zrobiłam lekarzem.

Moczygęba. Jakto? To z twojej zemsty od nich dwojga (*wskazuje na Łukasza i Walerego*) otrzymałem taką ilość razów, że mi najlepsze leki nie dadzą o tem zapomnieć.

Leander (*do Moczygęby*). Myśl pan o końcu, nie o początku.

Moczygęba. Dobrze więc (*do Marcyny*). Wybaczam ci te kije ze względu na wyniesienie mnie do szczytnego zawodu lekarskiego. Ale pamiętaj szanować moją osobę, bo gniew lekarza straszliwie mścić się umie nawet na najdroższych i najbliższych.

Koniec.

TAJEMNICA MISTRZA.

PRZEDZIWNĄ POWIEŚĆ Z ŻYCIA IMCI PANA TWARDOWSKIEGO.

NAPISAŁ KAZIMIERZ KALINOWSKI.

Wszelkie prawa autorskie zastrzeżone.

(Ciąg dalszy.)

Aż razu pewnego, gdy wozy taboru cygańskiego, wśród którego życie pędził Henryk obok Azy, wlokły się wzdłuż brzegów Dunaju, nieopodal

królewskiego zamku na Budzinie, wypadło z przydrożnej winiarni dwóch mężczyzn o twarzach śniadych, jako ci, co jechali z wozami.

Starszy, białą głową trzęsący, pozostał w tyle, gdy młody cygan rosły, barczysty, zerwał się z miejsc jak wicher i pogonił za uchodzącym taborom.

Już dopadał jednego z wozów ciężko ładownych, gdy z pod sterzącej nad nim płóciennej budy na wysokich obręczach naciągniętej, wyskoczyła z miękkiego siedzenia młoda niewiasta w sukni zielonej, złotymi talarkami naszywanej i dzwoniąc wiankami

Forali, bursztynów, pereł i paciorków ze szkła kolorowego, jakimi miała całe piersi obwieszone, zbiegła na stromy brzeg wielkiej rzeki i rzuciła się w spienione wartkie fale, zielone jak jej oczy głębokie, przepastne....

Młody cygan popędził za nią aż niemal do samej wody, lecz na ostatnim kamieniu zatrzymał się zniecierpliwiony, szerokie barki w tył rzucił, aż mu kapelusze spadł z czarnych, kruczonych kędziorów.

Zrobił krok wstecz, pochylił się nagle do ziemi, wyrwał kamień z brzegu i oburącz uniósłszy go w górę, cisnął z wściekłością w nurty Dunaju, wraz z jakimś straszem z ust zapienionych przekleństwem.

Kamień zniknął w zielonej fali, rozbryzgawszy ją szeroko, a wielkie kręgi, jakie na wodzie zatoczył, zaczęły się raz za razem spotykać z coraz szerszymi kołami, co się na powierzchni zwierciadlanej tworzyły obok walczącej z wartkimi nurtami cyganki.

Jak szalona uciekała ona przed pogonią i bez namysłu wskoczywszy do Dunaju, myślała go przepłynąć wszcz. Ani się nie obejrzała, pewna, że ten, który ją gonil, rzucił się jej śladem i płynie za nią.

Aliści naraz usłyszała za sobą plusk mocniejszy, i kręgi na wodzie dosięgły ją znacznie większe, niż wprzód.

Teraz dopiero dzielna pływaczka, znajdując się na samym środku rzeki, odwróciła za siebie głowę.

— Aza, Aza! — usłyszała za sobą głos znany.

To wpływ na swym czarnym rumaku ognistym śpieszył jej z pomocą Henryk, cekinami dzwoniący na granatowym żupanie cygańskim.

Ledwie go jednak spostrzegła, straciła przytomność. Porwał ją wir niebezpieczny. Dostała się wien niebacznie, nie patrząc przed siebie. Już szła na dno głębokie, gdy Henryk zsunawszy się z konskiego grzbietu w ton wodną, zapuścił nurka, by żonę od śmierci niechybnej ocalić.

Widziano z obu brzegów, jak ją raz wyciągał na wierzch za suknię; widziano jak zaraz potem zatoniła na moment oboje i tylko rumak zziąjany płynął po spienionej fali.

Aż wreszcie ujrzano, jak Henryk wydostawszy się z głębiny, wyciągał za włosy Azę, jak ona chwyciwszy się grzywy konskiej, dobywała resztek sił słabnących, by się trwalej uczepić siodła.

I tuż potem krzyki się podniosły, bo zobaczono z brzegów, jak straszny wir rzeczny porwał z powrotem Henryka w chwili, gdy ocalona przez niego kobieta już się bezpiecznie siodła trzymała — i wciągnął go w przepastne tonie...

Rzuciła się garstka cyganów do wody, chcąc mu spieszyć z pomocą, lecz wszystko już było na próżno...

Henryk nie wypływał z Dunajowych nurtów i nikt już topielca nie odszukał...

Aza tymczasem, gdy napróżno towarzysze jej rzucali się w wodę w ślad za Henrykiem, dopływała z powrotem do brzegu, ciągniona przez czarnego rumaka.

Zanim lądu dosięgła stopą, ujrziała zdaleka, jak brzegiem Dunaju, oburącz trzymający się za głowę, uciekał Lajosz niby szalony — ku miastu...

Złożono ją na wozie przemokłą do szpiku i woda ciekającą, a matka z innemi kobietami rozgrzewała i osuszała jej zeszywniałe członki.

Gdy siły wróciły, zerwała się i o wóz oparta, otulona suchymi chustami, spojrzała w zielone nurty Dunaju.

Ostatni dwaj cyganie dopływali do brzegu z próżnymi rękoma...

Wrzasnęła przeraźliwie, jakby nagle zmysły straciła, a potem cichutkim szeptem, niby głosem najpieszczawszym kołysząca dziecko piastunka, powtarzała miarowo w takt plusku zielonych fal Dunaju.

— Utonął... utonął... już nigdy nie powróci...

Nakoniec gorącemi łzami rozpaczy się zalewając, zsunęła się na klęczki, ręce wzniosła w górę, załamała je z trzaskiem kości nad zmoczonymi kędziorami i z jakąś wściekłością niemego bólu, zarzuciła ramiona na szyję karzelka.

I powiedziała mu wszystko... wszystko, co jej serce rozdzierało na ćwierci...

I powiedziała mu, jaką wdzięczność bez miary czuje zawsze dla niego za to, że z rąk śmierci wyrwał umiłowanego Henryka, by go oddać jej na kilka lat największego szczęścia, jakiego w życiu mogła zaznać...

VIII. Złote liście.

Pan Twardowski już przez cztery z kolei doby nie przespał ani jednej nocy na zamku tęczyńskim.

To też, kiedy o drugich kurach, widząc, że mały wojewodzie śpi spokojnie, doktor poszedł obudzić karła, by przez resztę nocy czuwał u łóżka chorego dziecka, sam rzucił się na posłanie i od razu zasnął snem ciężkim.

Żuż cichutko krążył po komnacie, co pewien czas zachodził do chorego, wciskał brodę nad łóżko i dech w sobie zapierając, słuchał, jak śpiący chłopak oddycha. Poczem uspokojony oddalał się i przejdę myśli snując, chodził z kąta w kąt dużego pokoju, pięknie sklepionego, o wyniosłych oknach, w głębokich niszach, do których wchodziło się po dwóch schodkach.

Czasami wdrapywał się na nie i w głębi framugi przystawał pod oknem, cztery razy wyższem od niego, a zakończonem w łuku szkłem kolorowem.

Rozpalone czoło przytykał do malutkiej szybki, a kocie jego źrenice świdrowały długo w mroku.

Raz i drugi w ciemnościach nocy nie rozeznal nic jeszcze. Aż nakoniec, gdy o jedną z szybek oparł znowu skroń rozgorączkowaną, wydało mu się, że widzi wyraźnie niespodziewanie biel przed sobą.

Wiedział, że spogląda z komnaty na jednym z wyższych pięter umieszczonej, na tozległy ogród, co opada w dół szerokimi tarasami.

Kiedy wczoraj wyglądał przez te okna południową porą, oczy jego napełniły się żółtą barwą, która rozlewała się po całym widnokręgu. To w słońcu późnej jesieni kapwały spokojnie z wiekowych drzew, liście zeschłe, pożółkłe.

Gdziekolwiek sterczały nagie korony, słały się im do stóp żółte kobierce z grubej warstwy liści opadłych... Ginęły pod nimi wszystkie ścieżki i drogi, niknęły grube mury, rozpięające się między starymi lipami, jesionami, klonami i dębami.

Karzel patrząc wczoraj na ten szeleszczący melancholijnie ogród, jak las ogromny, schodzący z pod stóp zamczyska coraz niżej po stokach góry, myślał, skąd on też przypomina sobie podobny z okien widok...

Odnawiały mu się w pamięci jakieś bardzo dawne lata, w których życie pędził w podobnie grubych murach potężnego zamku, gdzie z wiszącego na baszcie ganeczku spozierał w jesienne poranki, słońcem wyzłacane, na takie ogrody rozległe w jeden czarodziejski kobierzec szafranowy przemienione — i słuchał, jak wietrzyk śpiewał jakąś dziwną piosenkę tęsknoty i smutku, szeleszcząc w stosach suchych liści, o płamach rdzawych i płamiennie-czerwonych.

Marzył o tem wczoraj o południu, przypatrując się ogrodowi tęczynskiemu, ledwie tylko długo-trwała słońca pierzchać zaczęła przed jaskrawem słońcem — i liczył, ile to już lat upłynęło od owych dawnych czasów.

Dziś wyglądał świtu, by móc znowu, napawając oczy, tyle wspomnień budzącym widokiem, roić o dawno minionej jesieni, kiedy to z pierwszym brzaskiem zbiegał z komnat zamkowych na tarasy podobnego parku — wśród stosów żółkłych suchych liści, wyszukiwał co najpiękniejszych, by układać bajeczne wianki; by przypominać sobie, jak je zanosił południową godziną do pokoju pięknej niewiasty, co po ramionach śnieżno-białych, rozsypywała złote, niby liście jesienne, włosy wiosną pachnące.

Ile to lat minęło od owych dawnych czasów.

Chciał je sobie przypomnieć raz jeszcze Żuż, gdy dzień zaczynało za oknami komnaty chorego wojewodzicę na zamku tęczynskim.

Aż tu naraz, gdy brzask zaczął się przedzierać przez drobniutkie szybki okien wysokich a wązkich, karzeł zobaczył ogród zamiast w żółtej barwie skąpany — niespodziewanie jednostajną powleczonego bielą...

To pierwszy szron przez jedną noc wysniedział wszystko dokoła, zwiastując początek zimy.



Dary z bolszewji.
Trupy pomartych w przewozie z Rosji.

Fot. Marjan Fuks.



Baranowicze.
W siedzibie komitetu darów dla dzieci.

Fot. Marjan Fuks.

Karzeł wpil palce w brodę potarganą i wyciągając z niej siwe włosy, wpatrywał się w nitki zbiegające i kiwał łysawą głową, stukając czołem o szybę.

— Zima nadchodzi — szepnął sam do siebie i westchnął ciężko, że się oba garby uniosły. — A czy ja miałem kiedy wiosnę?...

O sklepienie komnaty uderzyło echo suchego kaszlu z posłania wojewodzica.

Żuż sapiąc, pośpieszył ku łóżku chorego i poprawił na nim okrycie. Stał jeszcze chwilę, wpatrując się w twarz dziecka, a kiedy oddech spokojniejszy dowodził, że chłopiec śpi znowu lepiej, powrócił do niszy okiennej.

Świt wstający późno rozwidniał tymczasem coraz jaśniej widnokrąg otwarty szeroko, po którym błdziły teraz spojrzenia kaleki. Wtem drzwi skrzypnęły.

Żuż, odwrócił się na pokój i powoli zszedł po stopniach od okna, by cichym szeptem przywitać burgrabiego.

Na bladej twarzy starca wyczytał pytanie i odpowiadając na nie, skierował oczy swoje na łóżko chorego, ze słowami:

— Lepiej, lepiej...

— A to dzięki Bogu... Jakaś przecie nadzieja świta w całym zamku.

— Będzie żył wojewodzic — wyszeptał z wielką powagą karzeł, wsparłszy dłonie na biodrach. (C. d. n.)



Hiszpańska artylerja w Melilli.



Hiszpanie w Maroku

Ostatni jeńiec marokański w rękach Hiszpanów.

OJCIEC ŚWIĘTY PIUS XI A POLSKA.

Jest w sercu człowieka jedno z najpiękniejszych i najszlachetniejszych uczuć, które się zowie wdzięcznością.

Skala tego uczucia daje nam poznać wartość człowieka. Chlubą naszego narodu jest, że zawsze w piersi swej przechowywał w całej swej czystości ogień wdzięczności polskiego serca.

Nie zapominaliśmy nigdy okalać aureolą chwały bohaterów obrońców, wieszczów, przyjaciół i ojców naszej Ojczyzny. A wśród zastępu mężów, dla których serce polskie płonie gorącą wdzięcznością, spostrzegamy Chrystusowych namiestników, promieniających bezbrzeżną miłością swego serca ku Polsce, kiedy ona szła skrepowana kajdanami niewoli ciernistą i bolesną drogą do wolności.

I dziś, wolna i niepodległa, zwraca wzrok swój na przybytek watykański przekonana, że znajdzie w Ojcu św. przyjaciela i życzliwego Opiekuna. Wielka radość ogarnęła wszystkich katolików w Polsce na wieść o wyborze kard. Rattiego.

Albowiem zna go dobrze społeczeństwo nasze, a i On poznał nas podczas trzyletniego pobytu swego na ziemi polskiej. Pobyt ten żywo zachował się w pamięci narodu.

Warto z tego właśnie czasu przypomnieć szczegóły, które wskazują, jak szczerego i gorącego przyjaciela posiadają Polacy w nowym Papieżu.

W czasie wojny z bolszewikami odwiedzał ówczesny nuncjusz osobiście chorych i rannych żołnierzy polskich, a specjalnie zwiedzał w tym celu wszystkie dworce warszawskie, gdzie niósł pocieszenie i pomoc.

Warszawa ma po nim trwałą pamiątkę w postaci sierocińca św. Heleny na Nowoczystem, ufundowanego przez dzisiejszego Papieża z własnej szkatuły. W zakładzie tym, mieszczącym sieroty po żołnierzach polskich, którymi się opiekował ks. nuncjusz Ratti, poświęcił on osobiście kaplicę.

Ks. nuncjusz Ratti władał wielu językami, nie wyłączając i polskiego. Po polsku rozumiał zupełnie dobrze i nauczył się nawet mówić. Między innymi witał się i odpowiadał na powitania w języku polskim.

W uroczystości i dni świąteczne odwiedzał zawsze katedrę św. Jana i nie opuszczał ani jednej uroczystości narodowej, zaszczycając je stale swoją obecnością.

Pisma warszawskie przypominają, że szczególnie pięknie swój stosunek do Polski ujął ks. Ratti — dziś Papież Pius XI — w mowie, wygłoszonej w Belwederze w dniu Nowego 1921 roku do Naczelnika Państwa, składając Polsce życzenia imieniem swoim i całego ciała dyplomatycznego. Oto wyjątki tej pięknej mowy:

I oto znów Korpus Dyplomatyczny przybywa do tych pięknych Łazienek, by złożyć Naczelnikowi Państwa i Polsce, którą on nosabia, swój hołd, swe powinszowania, swe życzenia, zaszczycony i dumny, że jest wobec Polski wyrazicielem mocarstw, przez siebie reprezentowanych.

W roku ubiegłym w tej samej dacie po długiej okropnej sławnej przeszłości, Polska ta wraz z Panem Naczelnikiem Państwa wraca do tego pięknego pałacu,

z którego — wraz z nieszczęśliwym królem, co pałac ten zbudował — wyszła przed wiekiem z górą, by zejść do mogiły, lub raczej do trzech mogił, zgotowanych Polsce przez rozbiórców.

Ileż dni, ile faktów w tym roku pamiętnym na zawsze.

Dni niepokoju i dni radości, dni uciążliwych walk i dni pięknych zwycięstw, dni burzliwe i dni słoneczne aż do świętości cudu włącznie, osiągniętego przez poświęcenie się, męstwo i geniusz ludzki i najoczywistszą interwencję boską; cud, który wyba-

wia Polskę i Europę, i który przez to samo zapewnia Polsce prawo do wysokiego szacunku i do nieśmiertelnej wdzięczności całego świata. A potem broń schowana ostatecznie do pochwy, granice wytknięte, piękna zorza pokoju, wschodząca na niebie od tak dawna burzliwym, sam pokój wreszcie sprawiedliwy i dobry pokój, ze wszystkimi jego dobrodziejstwami, wkraczający ponownie na drogi, do Polski wiodące.

Ciekawe wspomnienie zamieszcza w „Karjerze Warszawskim” ks. poseł dr. Kotuła; pisząc:

Razu pewnego, bawiąc u J. E. arcybiskupa Rattiego, gdy urzędował on — jako nuncjusz papieski — w Warszawie, powiedziałem:

— My Polacy mamy to przekonanie, że Wasza Ekscelencja jest naszym przyjacielem.

Na to odpowiedział J. E. nuncjusz Ratti:

— Dobrze ksiądz powiedział: Jestem przyjacielem Polski. Cieszę się, że zostałem mianowany nuncjuszem w Polsce. Gotów jestem tu całe życie pozostać, a nawet nie miałbym przeciw temu, aby na waszej ziemi złożono kości i prochy moje. Ukochałem waszą piękną ojczyznę. Z racji Polski zostałem biskupem, w Polsce zostałem konsekrowany na biskupa przez biskupów polskich, a nawet ten piękny pectorał, który noszę na piersiach, otrzymałem od Ojca św. zapewne dla tego, że jestem nuncjuszem w Polsce. Ja jestem właściwie biskupem polskim.

Innym znów razem mówił mi J. E. Ratti, że uczy się języka polskiego i już zaczyna czytać po



Katedra w Medjolanie, byłej stolicy biskupiej Ojca św.

połsku przy pomocy słownika. To znowu kiedy indziej mówił:

— Cieszę się, że Polska tak pięknie się rozwija. Mam nadzieję, że pokona wszystkie trudności zewnętrzne i wewnętrzne. Najwięcej kłopotu będziecie mieli z uregulowaniem waszych spraw finansowych, ale i z tego położenia ciężkiego powoli zwycięsko wyjdziecie.

J. E. kardynał Ratti znał doskonale Polskę, ale też wiele pracy poświęcał temu celowi.

Pieszko — z Poznania na Jasną Górę.

Wrażenia z pielgrzymki poznańskiej.

(Ciąg dalszy.)

Raz po raz spotykało się samotnych wędrowców, to znów wózek chłopski, naładowany chróstem.

— A daleko jeszcze do Sakrajd? — pytali nasi chłopcy, bawiąc się cudaczną nazwą upragnionego postoju.

— Niedaleko — brzmiała stała odpowiedź.

Wreszcie las się skończył; w nizinie opodal ukazała się chata wśród małego obejścia — była to z takim utęsknieniem wyglądana Sakrajd. W cieniu olbrzymiej topoli na murawie z obu stron drogi rozłożyli się pielgrzymi, by się choć trochę posilić i wypocząć, a ponieważ woda z pobliskiej studni, choć zachwalana przez właściciela jako „najlepsza w Europie“, okazała się niemożliwą do picia, pokrzepiano się, czem kto mógł. Przewodnik dobył nawet z tajemnicznej skrzynki fiaskę z kroplami „ludowego ziele“ i podawał każdemu odrobinę lekarstwa. Uchwalono jednak iść dalej i dłuższy postój odbyć dopiero w najbliższej wsi, Ganie. Ruszono więc naprzód. Mimo głodu i skwaru humory były doskonałe.

„A kto chce Pannie Marii służyć“

śpiewano pełną piersią. Droga zniżala się coraz więcej. Soczyste łąki otoczyły nas wokoło. Niebawem zasrebrzy-

ODPRAWA PRZYJACIELSKA.

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!
Na wieki wieków. Amen!

Chłopak mego sąsiada jest od dłuższego czasu strasznie tajemniczy. Przynosi do domu jakieś deszczułki, sprężynki, śrubki, młoteczki, nożyki i całymi wieczorami majstruje coś w swoim kącie. W tych dniach pokłócił się nawet trochę z siostrą, gdy go zaczęła podpytywać. Nareszcie, nie wiem już jakimi drogami wydało się, że Michałek robi swoją „sztukę“ na „wystawę związkową robót ręcznych“, którą w marcu tego roku urządza „Związek Stowarzyszeń Młodzieży (Poznań, pl. Nowomiejski 5).

Ku starości rąco się zbliżając kocham młodzież jako to wspomnienie własnych lat młodych, jako rękojmię na przyszłość. To też raduję się serdecznie na tę wystawę. W młodzieży ino tak kipi; chcą się chłopaki pokazać. Mówił mi jeden z nich, że wie od kolegi z Bydgoszczy, jakoby tamtejsza młodzież wzorem niedźwiedzi popadła w sen zimowy tak mocny, iż nawet nawoływanie na wystawę jej obudzić nie może. „Tak ich tam, powiada, X. jenerałny sekretarz wychwalał, że mają w Bydgoszczy wielki przemysł domowy między młodzieżą, a tymczasem, kto wie, czy wogóle co wystawia!“ Zgromiłem naturalnie trochę tę popędliwość w sędzie: „Ej, chłopyski poznańskie, mówię, żeby was czasem z innych miast nie zawstydzili a osobiłwie i z wiosek, gdzie nie ma tyle roztargnienia, to też podobno po wioskach jeno tak warczy robota wystawowa“.

Słyszałem od jednego z chłopców, chodzących do szkoły rzemieślniczej, że p. dyrektor Stiller zajął się z wielką gorliwością wystawą, a mistrzowie jak słusze,

ła się wstęga maleńkiej rzeczki, płynącej od Śląska ku Warcie. Powiadają, że przysłowiowy jest u nas „polski most“. Tu jednak wcale mostu nie było: wartkim prądem toczyła się struga wesoło poprzez drogę! Stanęliśmy zakłopotani nad brzegiem; co robić? — Nie było rady. Trzeba było zdjąć obuwie i przejść boso na drugą stronę. Szkoda, że nie zabraliśmy z sobą aparatu fotograficznego. Boć widok pielgrzymów, spacerujących podług metody ks. Kneippa we wodzie rozlanej szeroko na drodze, był bądź jak bądź niezwykłym. Okazało się jednak, że niema złego, co by na dobre nie wyszło. Przymusowa kąpiel orzeźwiła nas i dodała sił, to też wkrótce dotarliśmy do Gany. Tutaj dowiedzieliśmy się, że do Rudnik już tylko dobra mila. Wiadomość ta pocieszyła nas najwięcej i osłodziła przykrość, jaką wywołały trudności aprowizacyjne. Była bowiem już godzina trzecia, gospodarze wszyscy w polu, ogniska w chatkach dawno wygasły, więc trudno było o ciepłą strawę. Postanowiliśmy jednakowoż zarządzić postój dłuższy, raz dlatego, że nie potrzebowaliśmy się tym razem zaniechać spieszyć, a potem, że ludziom rzeczywiście należał się wypoczynek. Rozłożyli się więc ludziska na pastwiskach za wsią wśród kóz i gęsi, posilili się, czem kto mógł i wnet to tu, to tam rozległo się głośnie chrapanie. Miłe sny przerwał zbyt wcześnie niełitościwy dzwonek przewodnika — czas ruszyć w dalszą drogę. Słońce poczęło zniżać się ku zachodowi, było już po piątej. Szliśmy dalej przez pola, lekki wietrzyk przynosił słodką woń kwitnącego lubinu; zapowiadał się cudny letni wieczór.

Około siódmej dochodziliśmy już do Rudnik. Na wzgórzu, ponad drzewami, widniała wieżyczka kościoła. Szliśmy jednak nieco zaniepokojeni. Jak nas tu przyjmą, nieoczekiwanych gości? Przecież mieliśmy iść na Praszkę i nocować w Żytniowie... Wtem rozkołysały się dzwony kościelne. Otucha wstąpiła w serca; widocznie nasz goniec dzielnie się spisał i spełnił swoje posłannictwo. (Później dowiedzieliśmy się, że był na miejscu już na kilka

z wielką życzliwością pozwalają chłopcom używać narzędzi, nierzadko nawet dopomagają w nabywaniu materiału. Tak też i być powinno, boć chłopiec pilny, a uczciwy, będzie swoją robotą chwalił i mistrza, pod którego ręką się uczy.

Miejsce wystawy bardzo pięknie zostało obrane, bo w lokalach Organizacji Obywateli Pracy, przy ulicy Nowej pod liczbą 10.

Z jednego raduję się szczerze a to osobiłwie z tego, że wystawa ta przypada na czas II Targu Poznańskiego; można się więc spodziewać, że niejedyn gość z innych dzielnic Polski zwiedzi ją i pozna stan umysłowy tutejszej młodzieży.

Już tylko kilka tygodni dzieli nas od otwarcia wystawy, bo nastąpi ono w dzień św. Józefa, 19 marca.

Będzie to prawdziwe święto młodzieży polskiej; swoją pracę, swój trud pokaże, bez cudzej pomocy i osobiłwie szczyścić się może „Związek Stowarzyszeń Młodzieży“, że nie wyciąga ręki po żadne dolary amerykańskich metodystów, tylko własnym zabiegiem stara się swoje katolickie i polskie cele osiągnąć.

I jeszcze jedno mnie cieszy, a to mianowicie, że wystawa ta rozwinie zamiłowanie do pracy. Dalby Pan Bóg, żeby przez lat chociaż kilka nie zasnęła Polska żadnych strajków ani tym podobnych przerw w pracy.

Bo od tego dzisiaj wiele zależy. Szczególną grozą napędlają mnie strajki rolne, które zbrodnictwa ręką u nas zawsze w najgorszej chwili wywołuje. Ostatni proces pokazał, ile to komuniści przywiązywali nadziei do udania się streiku rolnego w Wielkopolsce. Trzeba koniecznie dążyć do takiego stosunku między pracodawcami a pracownikami, żeby obie strony nigdy nie zapomniały o tem, że dziećmi są jednego narodu, że jedną są ożywciami wiara

godzin przed nami i wpaść jak wicher na probostwo, wołając „przyjdź tu pielgrzymka z Poznania, dajcie im nocleg, a mnie kawę!”. Przed kościołem oczekiwał nas ksiądz proboszcz, powitał serdecznie i stawil do dyspozycji pielgrzymów swoją stodołę, a księży zaprosił na probostwo. Po krótkiej modlitwie dziękczynnej przed Najświętszym Sakramentem rozbiegli się pątnicy po wsi za łyżką ciepłej strawy, wszędzie gościnnie przyjmowani.

Rudniki, to duża wieś gospodarska, skąd na trzy strony rozchodzą się szosy. Ucieszyliśmy się niezmiernie, przeczytawszy na drogowskazie po raz pierwszy napis: „Do Częstochowy”. Więc widocznie już niedaleko, skoro napis taki położono! W rzeczy samej mieliśmy jeszcze iść półtora dnia.

Gdy się gdzieś więcej ludzi zgromadzi, nie obejdzie się zwykle bez ploteczek. Puścił więc ktoś i tutaj, wiadomo kto i skąd, plotkę, że nasi księża tak są wyczerpani i znużeni, iż postanowili resztę drogi przebyć na wozie. Zafrasowali się pielgrzymi, oburzył się jeszcze bardziej p. przewodnik; pobiegł zatem na probostwo, by się dowiedzieć prawdy, a w myśli już gorzkie układał sobie zdania, które miał tam z serca wyrzucić. Okazało się niestety, że pogłoska była fałszywa i że księża jak dotąd, pójdą dalej pieszo. Skorzystał jednak nasz dowódca z gorliwości swojej, bo go ksiądz proboszcz zatrzymał na wieczerzy.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Zé świata katolickiego.

Koronacja Piusa XI.

W dniu 12. 2. odbyła się w Rzymie uroczystość koronacji papieża Piusa XI. Od godziny 4 rano tłum zaczął zalegać plac św. Piotra. O godzinie 6 otwarto wrota Bazyliki, którą w ciągu 15 minut wypełniły kilkadziesiątyście tłumy. Na placu zgromadziło się w tym czasie

świętą. Bo i pracobiorca jak i pracodawca pamiętać muszą, że czynami ich powinno kierować poczucie odpowiedzialności przed Panem Bogiem, że życzliwość i wzajemne zaufanie najlepiej utoruje drogę do porozumienia się.

Jest to kością zaskłwą kierunku socjalistycznego, że tak w mieście jak na wsi często obie strony, to jest robotnik i pracodawca, święcie w to wierzą, że muszą być nieprzyjaciółmi. Tymczasem jest to pogląd zgoła pogański a pod względem gospodarczym zgoła głupi. Przecież dziecko rozumie, że fabryka, w której istnieje zgodne, przyjazne porozumienie między robotnikiem, monterem, inżynierem, dyrektorem lepiej będzie pracowała, aniżeli inna, w której żyją z sobą, jak pies z kotem. Zgodny jednak stosunek nie smakuje panom agentom podszczuwaczom, ludziom z pod ciemnej gwiazdy, biorącym pensje, diety i gratyfikacje za podtrzymywanie niezgody i nie-nawiści.

Może jeszcze więcej zależy od dobrego stosunku robotnika rolnego do swego pracodawcy. Toć skupia ich ta sama wieś, sąsiedztwo, kościół ten sam. Nie można więc sobie wyobrazić, żeby którejkolwiek stronie niezgoda na dobre wyjść mogła.

Przez wojnę i na wsi dużo powstało kwasu i zamętu, ludzie pozmieniali miejsca, jednym słowem panuje ciągły jakiś ruch i niepokoje. Trzeba dążyć do rozbudzenia w sobie przywiązania do warsztatu pracy. — Bogu dzięki, osiągnął robotnik rolny wcale dobre warunki. Jeszcze nie wszędzie są stosunki mieszkaniowe, jak się należy, ale wobec dzisiejszych stosunków budowlanych jeszcze pod tym względem trzeba trochę cierpliwości. W ogóle jednak jest położenie robotnika rolnego lepsze, aniżeli niejednego robotnika miejskiego.

Praca na roli wymaga jednak dużego poświęcenia

blisko 100 000 osób. O godzinie 9-tej w obecności rodziny Papieża, przedstawicieli ciała dyplomatycznego oraz władz miejskich, rozpoczęła się ceremonia koronacji. Wchodzącego Papieża powitał arcybrytyer Bazyliki kardynał Merry del Val. O godzinie 10-tej wyruszył wspaniały orszak papieski. Na mszy odprawionej przez Ojca św. obecnych było 52 kardynałów.

Modły na intencję koronacji odprawili kardynałowie Vanutelli, Vico i de Lai. O godz. 11-tej po skończonej mszy kardynał-djakoł Bisletti włożył tjarę na głowę Papieża. Wszyscy kardynałowie ucałowali rękę i stopę Papieża, który udzielał błogosławieństwa. Po odbytej ceremonii koronacji Ojciec św. z łoża zewnętrznej Bazyliki pobłogosławił zebranym przed świątynią niezliczonym tłumom. Wojsko prezentowało broń. Tłumy manifestowały entuzjastycznie na cześć Papieża.

Co słyhać w polityce?

„W imieniu Boga Wszechmogącego, my, Sejm w Wilnie, wolną i powszechną wolą ludności ziemi wileńskiej powołany, pełnię praw do stanowienia o losach tej ziemi posiadającej, pomni na wielowiekowe węzły, aktami w Horodle (1413 r.), Lublinie (1569 r.), uchwałą konstytucji majowej z r. 1791 ukoronowanemi, które ziemię naszą z Polską na mocy dobrowolnej umowy w jedno połączyły oraz krwi ojców naszych, ofiarnie przelanej w walkach narodu po nieszczęsnych Ojczyzny rozbiorach, składając hołd męstwu i poświęceniu żołnierza polskiego, synowi tej ziemi Józefowi Piłsudskiemu, bohaterowi i dowódcy generała Żeligowskiego, zgodnie z prawem narodów do stanowienia o sobie w imieniu ludności tej ziemi, jej żyjących i przyszłych pokoleń, mając na celu zabezpieczenie ich wolności i wszechstronnego duchowego i materialnego rozwoju... uchwalamy i postanawiamy: 1) wszystkie węzły prawnopanstwowe, narzucone nam przemocą przez państwa

i trudu, bo przecież nieraz w deszczu i błocie, na mrozie i śniegu muszą być roboty wykonane.

Praca na roli wymaga znajomości rzeczy. Dlatego też w gospodarstwach dobrze prowadzonych mają swoich specjalistów od bydła, od koni, owiec, od siewu, żniwa, od przemysłu rolnego. Mieszczuch sądzi nieraz z daleka, że na wsi wszystko samo się robi, a tam tak samo potrzeba doświadczonej ręki i głowy, jak w miejskiej fabryce, może nawet więcej, bo nad polami niema dachu, a powietrze przynosi nieraz co dnia to nowe niespodzianki. Z tego wynika, że rozumny, pilny człowiek stara się zapoznać z swoją pracą, poznać ją dokładnie, nie zmieniać często miejsca. Mawiał mój dziadek, panie świeć nad jego duszą, że dwie przeprowadzki starczą za jeden pożar, a kamień z miejsca nie ruszany godnie mchem porasta.

Błogosławiona wieś, której roztropny, sprawiedliwy pan dba we wszystkim serdecznie, przyjaźnie o swego robotnika, gdzie ów pracownik kocha swoją wieś, swoją pracę, stara się ją coraz lepiej zgłębić i poznać. Smaczny, na tej glebie będzie dojrzewał chleb powszedni, bo będzie siany i hodowany wśród miłości i błogosławieństwa, wiem ja dobrze, że niejednemu wydadzą się moje słowa czemś dziwnym i niezrozumiałym, może skrzywią się niejedno usta do szyderczego uśmiechu. Nie dbam o to, bo wiem, że jest w nich święta prawda. — Największym nieszczęściem dzisiejszych czasów to samolubstwo jednych i tępa nie-nawiść drugich. Niech każdy w tym względzie rozpocznie zmianę od siebie na lepsze, a rychło jakaś wiosna dobroci zawita. Już zima coś ckiwie ku wiosnie zerkaj, niechże moje biedne słowa pierwszym będą wiosennym posiewem.

Pozdrawiam Was, Bogu serdecznie polecam

Wasz

Rafał Żegota.

stwo **rosyjskie**, uważamy za bezpowrotnie zerwane i nieistniejące, jak również **odrzucaamy** wszelkie prawo Rosji do ingerowania (wtrącania się) w sprawy ziemi wileńskiej; 2) **roszczenia**... do ziemi wileńskiej zgłaszane przez republikę litewską... **odrzucaamy** i na zawsze odpieryamy; 3) stwierdzamy uroczyście, że **nie uznamy** żadnej decyzji przez **czynniki obce** wbrew naszej woli powziętej zarówno o losach ziemi naszej jak w sprawach jej wewnętrznych urzędów; 4) ziemia wileńska stanowi bezwarunkowo i bez zastrzeżeń **nierozdzielną** część Rzeczypospolitej Polskiej; 5) Rzeczpospolita Polska posiada **wyłączne** prawo **zwierzchności** państwowej nad ziemią wileńską; 6) **władza ustawodawcza** Rzeczypospolitej Polskiej posiada jedyne i **wyłączne** prawo **stanowienia** o ustawach i urządzeniach ziemi wileńskiej; 7) wzywamy Sejm ustawodawczy i Rząd Rzeczypospolitej Polskiej do natychmiastowego **przystąpienia** do **wykonania** praw i obowiązków... nad ziemią wileńską". Tak brzmi treść **uchwały**, na którą godzą się **prawie** wszystkie stronnictwa w zgromadzeniu **wileńskim** prócz **socjalistów** i pana **Mickiewicza**. Socjalistom **nikt** nigdy nie dogodził, a co do pana Mickiewicza, to nie jest on ani potomkiem wieszczka Adama, ani poeta, ale takim z imienia jak inni **zaściankowcy**, których na Litwie jest wbród niby **grzybów**. Jeżeli jednak **ogromna** większość stoi za powyższą **uchwałą**, to **nie** znaczy, aby wszyscy ją rozumieli **jednakowo**. Znaczna **mniejszość** pragnie **połączyć** Wileńszczyznę tak jak to już uczyniono z innymi **województwami**, inni znowu pragną dla Wilna i okolic **samorządu**, a nawet **wiecej**, bo

autonomii

politycznej z sejmem. I nasz rząd tych „autonomistów” **popiera**. Pan Skirmunt powiada, iż **inaczej nie może**, bo zaraz mu wlezie do gabinetu poseł angielski, a po nim konsul francuski zajrzy, choć będzie się uniewinniał „parda, parda”, albo **przyfrunie** depesza z Genewy od Ligi Narodów, jak teraz, ażeby **puścić** niebezpiecznych ptaszków litewskich i białoruskich, których rząd wileński **pozbawił** wolnych ruchów. I trzeba dodać, że nasz rząd również **prosi** o ich **puszczenie** drogą na Kowno, niewiadomo tylko, czyby wilki chciały być im bezpłatnymi przewodnikami. Rozumie się, **huczek** w Kownie i zagranicą z powodu aresztowań **zuchwalców** jest **niemały**, ale — albo rząd w Wilnie **ma** jakąś **władzę**, albo to jest pajac, z którego wolno drwić i rzucić za opłotki. Ciekawa rzecz, że nasz rząd specjalnie sobie coś **upatrzył** do Mickiewiczów, bo drugiego tegoż nazwiska **mianuje** **wojewodą** na Wołyniu, podobno był ministrem **ukraińskim**, więc dobrze ma rządzić. Wiemy, dla kogo, ale czy nie **za dużo** zjawilo się na widowni **politycznej** pp. Mickiewiczów? Stanowczo zaś

za dużo mamy na rynku ekonomicznym

spirytusu. Właściwie nasi kupcy mogliby z Rosji wszystkie polskie **zabytki** ściągnąć zapomocą przynęty **wódecznej**, gdyby rząd dał im **prowinję** wartości **wódki**. Tymczasem jeszcze się **nie zaczęły** obrady nad umową handlową z rządem **sowieckim**, natomiast bolszewicy dla **powiększenia** **dobrej** swojej kompanii **żądadą** od p. Skirmunta przysłania im posła Dabala, komunisty (siedzi pod kluczem), od Niemców zaś Hoelza, oślawionego mordercy i przywódcy **band czerwonych**. Zapewne, dobrze byłoby **oczyścić** **rynek** z tych **zabytków** i drugiemu państwu, ale na cóż w takim razie **sądy**? i **niebezpiecznie** jest wytwarzać po tamtej stronie coś jakby **komitet komunistyczny**, który w pewnej chwili **zbrojnie** wtargnąłby np. w granice naszego państwa. Zdarzył się podobny wypadek w Finlandji, a rząd moskiewski **wyparł** się **komunistów** z „czystym sumieniem”.

Ogromnie **tesknia** bolszewicy za **niebem włoskiem**, za Genuą, nawet z Francuzami **zatkneli** się tajemniczo, **kołyszając** ich **złudną nadzieją**, że **zwrócą** **długi**, jeśli będą mieli **z czego**. Tymczasem **Puëkare**

obstaje za odroczeniem

zjazdu genuńskiego. Powiada Lojd Dżorżowi, że **naprzód** **oba** **rządy** przez **rzeczoznawców** **porozumieją** się, jak **zaga**dać do Moskali i Szwabów a potem **dopiero** **zasiedzą** przy **jednym** stole. Również i robotnicza partja angielska **trudności** wysuwa **przeciw** **sowiecom**, **żąda** od **wielomównego** Lojd Dżorża, aby **krótko** **postawił** **sprawę** **niezawisłości** Gruzji, z której **wolności** **piętrzą** się same **gruzy** i **zwały** **trupów**. Dalej, Ameryka, sławna ze swych **urządzeń** **astronomicznych**, chce jak przez **lunetę** **badac** uczestników **zjazdu** w Genewie (**głowy** **bolszewików** **warte** **badania**) i ani słowa nie **rzec**... Prezydent Harding **nie** **uznaje** **sowieców**, więc **gdyby** **amerykański** **przedstawiciel** **przemówił**, to **oczywiście** **musiałoby** **przyjść** do **gadania** z **bolszewickimi** **Żydami**, a **pośrednio** **uznania** ich za **reprezentację** **rządu**. Wreszcie rząd włoski **nie** **jest** **gotów** do **przyjęcia**: **kuchnia** **niby** **tak** (byle co się **poda**, jak to we Włoszech, gdzie **słońce** **karmi** **ludzi**, a **turyści** **Włochów**), **gabinet** **zato** **próżny**, a **ktoś** **gości** **przyjąć** **musi**. Mimo to Lojd Dżorż **ani** **chce** **stuchac** o **dłuższej** **zwłoce**: **parę** **tygodni** **najwyżej**. Targu **powiada**, **dobić** **trzeba**. I byłby jeszcze **wymowniejszy** w tej **kwestji**, **gdyby** **nie**

Irlandja, Indie i Egipt.

Same „i” no, nie same, ale **prawie**. Otóż w Irlandji **wielkie** **zaburzenia**, **rewolucjonisci** **irlandzcy** **chwytają** **nienawistnych** **im** **Anglików** i **chowają** **tak**, że **najlepszy** **apar**at **Roentgena** **nie** **zdola** **kryjówki** **prześwietlić**, **nie** **mówiac** o **polskich** **zapalkach**. **Czemuż** **tak** **postępują**? **Jest** **to** **ich** **sposób** **zwalczania** **najeźdźców**. **Cel** **zaś** — **to** **osiągnięcie** **całej** **Irlandji** **dla** **Irlandczyków**, **kiedy** **tymczasem** **są** **dwie**: **północna** **w** **rękach** **angielskich**, **południowa** — **wolna**. A **teraz** **drugie** „i”: **Indie**. Lojd Dżorż **pięścią** **grozi** (**innej** **bronii** **nie** **posiada**) **Hindusom**, **zamiast** **im** **posłać** **przynajmniej** **część** **starej** **swej** **garderoby**, **bo** **jakże** **się** **honoro**wo **rozprawiac** z **nagusami**. **Przywołuje** **najzdolniejszego** **jenerała** (**Allenbaj**) i **powiada** **mu**, **żeby** **zmusił** **Indje** **do** **poszanowania** **ustaw** **angielskich**. **Drogo** **to** **kosztować** **będzie** **rząd** **wielkobrytański**, a **jest** **nadzieja**, **że** **tyle** **wskóra** **co** **z** **Irlandji**.

Trzecie „i” (niby dlatego, że kończymy) to **Egipt**. Tu Lojd Dżorż **jest** **o** **wiele** **łagodniejszy**. **Kazał** **wywieść** **jak** **ładunek** **okrętowy** **najcięższych** **opozycjonistów** **egipskich** i **obiecuje** **reszcie** **samorząd** **polityczny**, **byle** **jednak** **angielskie** **wojska** **zostały**, **no** i **dochody** **z** **tego** **żyźnego** **kraju**.

Dobrze byłoby i nam

corychlej korzystać z dochodów

Górnego Śląska. Już się w Genewie **toczą** **ob**rad **polsko-niemieckie** **pod** **bystrem** **okiem** **Szwajcara** **Calondera** i czy **chcesz** czy **nie** **chcesz** **musisz** **bracie** **Polaku** z **karto**flarzem się **pogodzić**. Niemcy **jednak** **usiłują** **odwlec** **prze**jęcie **Śląska** **przez** **rząd** **polski**. **Wywołują** **nawet** **krwawe** **rozruchy** w Gliwicach, gdzie **trupem** **padło** **paru** **rodaków** **Puëkarego**. Ów **jednak** z **niezwykłą** **mo**cą **oświadczył**, że **skoro** **w** **tej** **zbrodni** **wyka**że się **udział** **Niemców** **nieślaskich**, **kara** **spadnie** **na** **całe** **Niemcy**. **Trochę** **się** **zachwiał** **pan** **Wirth** **na** **fotelu** **kancle**rskim **po** **tem** **oświadczeniu**. A tu **mu** **dopiekają** **stronnictwa**: **jedne**, **że** **nie** **zdlawił** **strajku** **po** — **prusku**, **inne**, **że** **pozwolił** **na** **procesy** **przeciw** **pod**żegaczom **strajkowym**. I **znowu** **słychać** **o** **przygotowaniu** **do** **bezrobocia** **na** **kolejach**.

W naszym kraju **bezrobocie** **jest** **przymusowe**. **Minister** **pracy** **twierdzi**, **że** **się** **zwiększa**, **minister** **handlu** **po**wiada, **że** **to** **tylko** **uchodźcy** **pomna**żają **liczbę** **bezrobotnych**. A **są** **oznaki**, **że** **przemysł** **znowu** **ruszy** **się**, **aż** **miło**! **Minister** **skarbu** **pozwala** **na** **otwieranie** **nowych** **spółek** **akcy**yjnych, **Łódź** **sposobi** **wywóz** **towa**row **do** **Rosji**, **zawrzc**ć **mamy** **układ** **handlowy** **z** **Estonją** i **Finlandją**, **na** **Łotwę** **re**gularnie **węgiel** **odchodzi**, **wreszcie** **żadamy** **od** **Niemców** **wz**amian **za** **prawo** **przewo**zu **towa**row **do** **Rosji**, **aby** **prze**stali **bojko**tować **Polski** i **pozwolili** **na** **ja**wny **dowóz** **fabry**katów, a **zwła**szcz **maszyn** **do** **naszego** **kraju**.

O MAŁŻEŃSTWIE.

LIST PASTERSKI BISKUPÓW POLSKICH DO DUCHOWIEŃSTWA I WIERNYCH.

Biskupi polscy duchowieństwu i wiernym pozdrowienie i błogosławieństwo w Panu!

„Małżeństwo sakramentem wielkim jest w Chrystusie i w Kościele.“

List do Efezjan 5, 32.

„Co Bóg złączył, człowiek niechaj nie rozłącza.“ Sw. Mateusz 19, 6.

Umiłowani nasi w Chrystusie Jezusie!

Prawda to oczywista, stwierdzona doświadczeniem wszystkich ludów i wieków, że tężyzna, bezpieczeństwo, pomyślność narodów i państw zależy przede wszystkim od zdrowia cielesnego i moralnego rodziny. A że rodziny źródłem, korzeniem, podstawą jest małżeństwo, więc ostatecznie, jakie małżeństwo taka rodzina, taki naród, takie społeczeństwo. Skoro tak jest, skoro zdrowie, potęga, szczęście społeczności ludzkiej bardziej zawisły od czystości, świętości rodziny, małżeństwa, niż od stopnia oświaty, dobrobytu, siły zbrojnej, skoro rozluźnienie węzła małżeńskiego i zwyrodnienie rodziny niemylnie pociąga za sobą rozkład i zgubę narodu, najsłuszniej należałoby się spodziewać, że prawodawcy, mężowie stanu, uczeni, wogóle wszyscy, którym zdrowie własnej Ojczyzny jest mile, wyteżą w największej trosce starania, żeby nieustannie wzmacniać trwałość węzła małżeńskiego, ażeby zachować świętość domowego ogniska.

Tymczasem jesteśmy świadkami zamierzeń, wysiłków wprost przeciwnych, dążających prawie we wszystkich państwach do odarcia małżeństwa z charakteru jego świętego, do zastąpienia małżeństwa religijnego małżeństwem świeckim, słowem do zepchnięcia urzędu bogażego w liczbę związków zupełnie świeckich. Zamach ten na świętość małżeństwa jest tylko jednym z objawów walki, którą nieprzyjaciele chrześcijaństwa chcą wogóle całe życie społeczności ludzkiej ześwieczczyć, a więc oddzielić naukę od religii, obywatela od chrześcijanina, państwo od Kościoła, słowem: zniszczyć wszelki węzeł, łączący stworzenie ze Stwórcą. Za przykładem obcych dają się także u nas raz po raz słyszeć głosy, jakoby małżeństwo kościelne było instytucją przestarzałą, że prawodawstwo kościelne ogranicza nad miarę swobodę osobistą jednostek; jakoby nadszedł czas, aby zgodnie z postępek ludzkości strząsnąć dotychczasowe jarzmo kościelne, stworzyć nowe ustawodawstwo małżeńskie czysto świeckie, zapewniając każdemu całkowitą, niczem niekrępowaną wolność człowieczą, obywatelską.

Ze takie głosy dają się słyszeć z ust ludzi niewierzących, jest wprawdzie rzeczą przykrą, ale nie zadziwiającą, natomiast nad wyraz bolesną i niebezpieczną jest rzeczą, że tym złudnym i kłamliwym hasłem dała się opleść, uwieść nawet część wierzących katolików i ci poczynają się chwilać między prawdą a fałszem, jak gdyby nie wiedzieli, że gdzie Bóg przemówił i gdzie Kościół Jego swój stanowczy wyrok wypowiedział, tam niema już miejsca na chwieianie się, na błędne roztrząsanie.

Na biskupów przede wszystkim, — jak przypomniał Leon XIII w swym nieśmiertelnym liście okólnym „O małżeństwie“ — nałożył Chrystus obowiązek stróżowania, aby ludowi została zachowana czysta i niepokalana boża nauka o małżeństwie. W chwili zatem, w której moce ciemne gotują się, aby zatruć źródło życia społeczeństwa, poderwać jego korzeń, podkopać nadprzyrodzony fundament życia narodu i państwa, my, biskupi wasi, milczeć nie możemy. W poczuciu naszego obowiązku pasterskiego zwracamy się więc wszyscy razem do Was, drogich synów i córek świętego Kościoła katolickiego, aby we wspólnym

orędziu przypomnieć Wam świętość związku małżeńskiego, ostrzec przed niebezpieczeństwami, które mu zagrażają, wywołać jakby pospolite ruszenie ku jego obronie.

Pragniemy, żeby głos nasz był słyszany wszędzie, w mieście i na wsi, w pałacach i chatach, gdyż dotyczy wszystkich uczonych i mniej oświeconych, możnych i słabych, najbogatszych i ubogich.

O wasze zbawienie wieczne, Umiłowani nasi, nam idzie! O zdrowie, wielkość, szczęście Ojczyzny naszej ziemskiej nam idzie!

I.

Świętość małżeństwa.

Przenieśmy się myślą w pierwsze dni dziejów ludzkości.

W raju stanął pierwszy człowiek, ozdobiony wszystkimi darami natury i łaski. Zwał świat cały swoją własnością, wszystko co było na ziemi i wszystko, co było pod ziemią. Adam nie był jednak całkowicie szczęśliwy. Brakowało mu towarzyszkę. Stwierdziła to Trójca Przenajświętsza, gdy rzekła: „Nie dobrze być człowiekowi samemu. Uczyńmy mu pomoc jemu podobną.“¹⁾ I wyprowadził Bóg cudownym sposobem z boku mężczyzny niewiastę, złączył oboje i błogosławił, mówiąc: „Róście i mnożcie się i napełniajcie ziemię i czyńcie ją sobie poddaną.“²⁾ Adam zaś poznawszy myśl Bożą nad sobą i nad swoją małżonką, dodał: „Oto kość z kości moich i ciało z ciała mego. Będzie się nazywała mężowa, bo z męża wzięta jest. Przeto opuści człowiek ojca swego i matkę, a przyłączy się do żony swej i będą dwoje w jednym ciele.“³⁾ Taki jest początek małżeństwa. Nie wywodzi się ono tylko z cielesnego popędu ludzkiego, ani, jak chcą niektórzy, z woli władzy państwowej, bo ta późniejsza jest od małżeństwa, ale ustanowione zostało bezpośrednio przez Pana Boga równocześnie ze stworzeniem pierwszej pary ludzkiej.

Słowy: „róście i mnożcie się“, Stwórca przypuścił Adama i Ewę i wszystkich małżonków po wszystkie czasy do uczestnictwa w swej mocy twórczej i wskazał na główny cel małżeństwa, którym jest zaludnianie ziemi i nieba prawdziwymi czcicielami Boga, a dalej niesienie sobie pomocy w uszlachetnianiu się wzajemnem. W słowach następnych: „Będą dwoje — a nie troje lub więcej — w jednym ciele“, określił Bóg usty Adama istotne przymioty prawdziwego małżeństwa: jedność i nierozzerwalność. Na świecie niema nic ściślejszego, trwalszego, nad łączność członków tego samego ciała. Jeśli więc dwoje przez oddanie wzajemne całej swej osoby stapiają dwa życia w jedno życie, jeśli i między nimi wytwarza się spójnia na wzór zespołu członków w jednym ciele, to związek ich musi być nierozdzielny, nierozdzielny, nierozzerwalny. Moc główna i trwałość tego związku życiowego pochodzi nie z samej woli męża, ani z woli jego żony, ale przede wszystkim z woli Boga. Trzy wole, pamiętać to należy dobrze, weszły w pierwszy związek małżeński w raju i tworzyć odtąd mają każdą następną umowę małżeńską: najświętsza wola Boża, wolna wola mężczyzny i wolna wola niewiasty. Z tego też powodu, że także, albo raczej przedewszyst-

¹⁾ Księga Rodzaju 2, 18.

²⁾ Księga Rodzaju 1, 28.

³⁾ Tamże 2, 23, 24.

kiem wola Boża wchodzi i umacnia węzeł małżeński, człowiek, któryby się odłączył od swej żony, odłącza się równocześnie od Boga i niewiasta, któraby się odłączyła od swego prawowitego męża, odłącza się równocześnie od Boga, wówczas bawiem depcą oni już nie prawo czysto ludzkie, ale prawo Boże.

Wreszcie z przytoczonych słów Pana Boga i Adama wynika, że małżeństwo już jako naturalna umowa współżycia, jako uczestnictwo w twórczym akcie bożym od początku swego nie tylko było ważnym urządzeniem społecznym, ale instytucją religijną, świętą, podległą w swej istocie prawu bożemu i władzy religijnej a nie ustawodawstwu czysto świeckiemu i władzy świeckiej. Takie przekonanie tkwiło od zarania dziejów w duszy wszystkich ludów, przynajmniej oświecenijszych, które właśnie dlatego, że uważały małżeństwo za coś wyższego niż za stosunek i kontrakt czysto przyrodzony, otoczyły akt umowy małżeńskiej obrzędem religijnym, wzywały nań w modlitwach i ofiarach kapłanów błogosławieństwa niebios, a w dalszym jego istnieniu zabezpieczały mu opiekę prawa.

Związek małżeński pierwszych rodziców w raju miał być wzorem dla wszystkich następnych małżeństw. Atoli w miarę jak przez grzech zaczęło się zaciemniać i psuć sumienie ludzkości, zatracala się też u wszystkich narodów wiedza o pochodzeniu, znaczeniu i przymiotach małżeństwa. Chrystus, który przyszedł wszystko naprawić, co się skaziło, zepsuło, przyniósł i poniżonemu małżeństwu ratunek i lekarstwo. Nie odrzucił dawnego, nie ustanowił jakiegoś całkiem nowego małżeństwa, ale to, które zastał, „nauką swoją oczyścił, od starych plesni wielożeństwa i rozwodów uwolnił i doprowadził do czystości, jak było od początku od Boga postanowione.“) Gdy bowiem faryzeusze zwrócili się do niego z pytaniem: „Czy godzi się człowiekowi opuścić żonę swoją dla jakiegokolwiek przyczyny?“ Chrystus odrzekł: „Czy nie czytaliście, iż Bóg, który stworzył człowieka męczyzną i niewiastą stworzył je“ i dodał: „Dlatego opuści człowiek ojca i matkę i złączy się z żoną swoją tak, że dwoje będą jednym ciałem. A tak już nie są dwoje, ale jedno ciało. Co tedy Bóg złączył, człowiek niechaj nie rozłącza.“) Odpowiedzieli Mu faryzeusze: „Dlaczegoż więc Mojżesz kazał dać list rozwodowy i oddalić żonę?“ Odrzekł Jezus: „Mojżesz dla twardego serca waszego pozwolił wam oddalać żony wasze, z początku jednak tak nie było. Ja natomiast powiadam wam: wyjawszy wypadek rozpuszty, kłoby oddalił żonę swoją, a pojął inną cudzołożną, a kłoby tak oddaloną pojął, cudzołożną.“

W Starym Zakonie, który był tylko wstępem do społeczności religijnej doskonałej, rozwody były dopuszczone, zwłaszcza gdy niewiasta złamała wiarę małżeńską. W Nowym Zakonie, który jest postępowym i zakonem najwyższej doskonałości religijnej, moralnej, pozwolenie to zostało raz na zawsze odwołane, zniesione przez Boga — Człowieka, Najwyższego Prawodawcę. Dozwolonym w razie cudzołóstwa jednego z małżonków jest odtąd tylko rozdział od łoża i stołu, czyli od współmieszkania. Sam węzeł małżeński między tymi rozdzielonymi trwa jednak dalej i stąd wszelkie zawarcie nowego związku jest bezwzględnie wykluczone. Że Chrystus istotnie mężowi, który doznał zdrady ze strony swej żony, pozwala tylko na rozdział od łoża i stołu a nie na rozwód w ścisłym tego słowa znaczeniu, wynika z oświadczenia, że gdyby tenże mąż po odepchnięciu żony wiarolomnie połączył się z inną niewiastą, to ten drugi związek nie byłby dozwolonym małżeństwem, ale związkiem nieprawym, cudzołożnym. Tak samo odepchniętej z powodu

wiarolomstwa niewieście nie wolno za życia jej męża wyjść za innego; gdyby mimo zakazu Chrystusa ktoś inny z nią się połączył, związek ich byłby również tylko związkiem cudzołożnym. Tak a nie inaczej pojęli naukę Chrystusa Apostołowie, która także była dla nich nowością, bo i oni, tak jak wszyscy Żydzi, byli wychowani w mniemaniu, że przynajmniej cudzołóstwo, popełnione przez jedną ze stron, wystarcza do zerwania węzła małżeńskiego. Dali też wyraz swoim zapatrywaniom, występując z uwagą: „Jeśli tak ma się sprawa męczyzny z niewiastą, lepiej się nie żenić.“) Mimo te obawy Apostołów Chrystus zawsze zresztą skory do sprostowania wszelkiego błędnego rozumienia swej nauki, nie z ogłoszonego nowego ustawodawstwa małżeńskiego nie odwołał, ale przeciwnie z całą Bożą powagą podtrzymał swój wyrok: „Ktobykolwiek oddalił żonę swoją i pojął inną, cudzołożną z nią. A gdyby żona opuściła męża swego i wyszła za innego, również dopuszcza się cudzołóstwa.“) Za Chrystusem głosi św. Paweł: „Żona związana jest prawem, póki mąż jej żyje, a jeśli mąż jej umarł, wolna jest.“)

Chrystus nie tylko przywrócił małżeństwu jego pierwotną jedność i nierozzerwalność. Uczynił daleko więcej. Postanowił, że małżeństwo między chrześcijanami ma być urządzone na wzór jego cudownego, tajemniczego zjednoczenia się z Kościołem. Tajemnicze, nadprzyrodzone połączenie Chrystusa z Kościołem, Kościoła z Chrystusem dokonywa się przez łaskę, przez miłość nadprzyrodzoną, która sprawia, że dwoje, Chrystus i Kościół, stają się jakby jednym ciałem. Więc i zjednoczenie się męczyzny z niewiastą w małżeństwie chrześcijańskim, jeśli ono ma rzeczywiście być obrazem, znakiem, naśladowaniem zaślubin Chrystusa z Kościołem, z duszami w Kościele, musi dokonywać się przez łaskę, przez miłość nadprzyrodzoną, bożą. Innymi słowy: podstawą związku małżeńskiego musi być trwała łaska uświęcająca. Trwałej łaski Bóg udziela przez sakramenta, więc też Chrystus wyniósł małżeństwo chrześcijańskie do godności jednego z sakramentów Nowego Zakonu. I w tem spoczywa istotna, zasadnicza różnica między małżeństwem przedchrześcijańskim a chrześcijańskim. Tamto było związkiem religijnym, ale nie dającym z siebie łaski, nasze jest związkiem świętym, nadnaturalnym, dającym łaskę. Że Chrystus istotnie przemienił dawną naturalną umowę małżeńską w sakrament, wynika ze słów św. Pawła, który w liście do Efezjan przywodzi małżonkom na pamięć obowiązki, iż mają się nawzajem miłować taką miłością, jaką Chrystus kocha swój Kościół, a Kościół miłuje Chrystusa, a potem kończy: „Sakrament to wielki jest, a ja mówię w Chrystusie i Kościele.“) Apostoł zwie tu małżeństwo nie tylko sakramentem, ale sakramentem wielkim, czyli tajemnicą wielką, jako obraz, odbłask rzeczy tajemniczej, wielkiej, największej, mianowicie połączenia Chrystusa przez węzeł łaski w miłości nadprzyrodzonej z Kościołem swoim świętym; niemniej i dlatego, że małżeństwo w sobie jest prawdziwym sakramentem to jest: nie tylko znakiem łaski, ale źródłem łaski. Tak rozumieć i tak wykładali słowa Apostoła Ojcowie święci, Sobory powszechne, taka jest zgodna nauka Kościoła Zachodniego i Wschodniego.

Zwróćcie jeszcze raz uwagę, Umiłowani nasi, na przywiedzione dopiero słowa św. Pawła. Nie mówi on, że w małżeństwie jest sakrament, że Chrystus dodał do dawnego naturalnego kontraktu małżeńskiego sakrament, ale że samo małżeństwo chrześcijańskie jest sakramentem. Okoliczność to ogromnej wagi w swych następstwach.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

) Piotr Skarga; kazanie na II niedzielę po św. trzech królach.

) Mat. 19, 3-10.

) Mat. 19, 10.

) Mar. 10, 11, 12.

) List I do Korynt. 7, 39.

) List do Efezjan 5, 32.